Cena N-ru 20 Mkp.

ROK 53. KRAKÓW, DNIA 17 LIPCA 1921. Nr. 29.

DJABEŁ

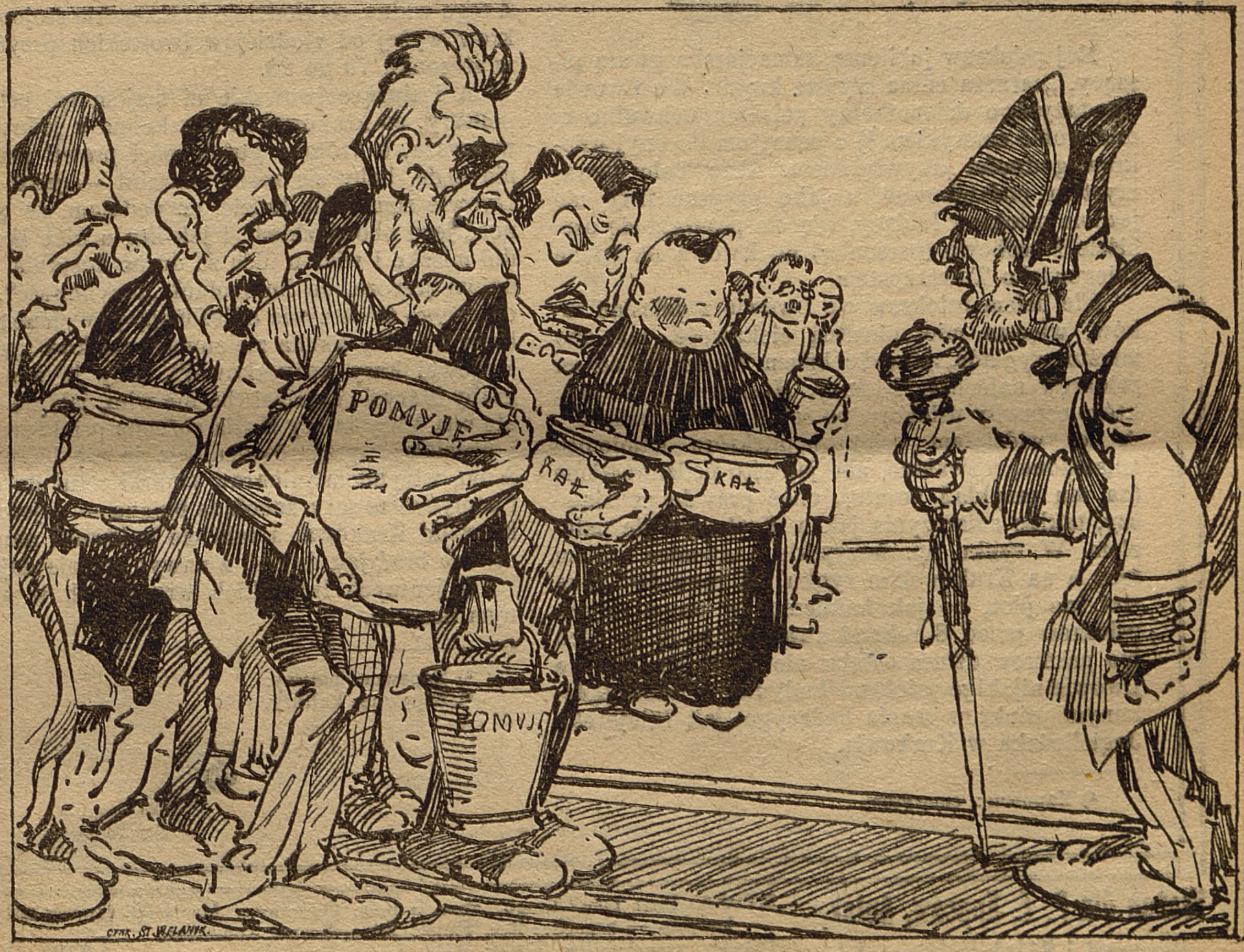
Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ"
WŁADYSŁAW BORKOWSKI
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzemplarza 20 Mkp.

PRENUMERATA W KRAKOWIE I NA PROWINCYI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:
MIESIĘCZNIE 80 MKP.
Cena egzemplarza 20 Mkp.

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

W PRZEDSIONKU SEJMOWYM.



Portjer. Co to panowie niesiecie?
Suwereni. Pomyje, dla wylania ich na głowy naszych przeciwników politycznych.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Prosimy o odnowienie prenumeraty! Warunki w nagłówku. — Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«:

Władysław Borkowski, Kraków ul. Niecała L. 4.

WICEK SOCJALIK.



Mój psiokrew jubileusz, szmaciarską gwarą piszący, „zatacza coraz szyrsze kręgi“. We Lwowie Towarzystwo dziennikarzy polskich uchwaliło ci mie zrobić emerykiem [1]) z pensyjom do onyj psiokrew godności przywiązanom. Trzo beło Towarzystwu podzinkować, a jako grypsać listy nie jezdem psiokrew lubiący, więcem poturgał się osobiście i osobowo (personką) do Lwowa na walne zbiegowisko Towarzystwa.

Nie bełem psiokrew we Lwowie z dziesinć roków, więcem mioł okrutną ciekawość, jak ono miasto wygląda, jako że bełem wiedzący, co go psiokrew najechały Niemcy, Moskale i Ukraińcy, które ostawiły psiokrew po sobie „miłe pamiątki“. A no, widziołem psiokrew niektóre kamienice zniszczone, rozwalone, abo jak sito podziurawione (na ten przykład poczta), choć prawdę pedziawszy, takigo zniszczynia jak w Krakowie nie nalazłem. W rynku np. wszystkie kamienice stojom fest, a na Krakowskim rynku, na rogu św. Jana stoi ino płot, bo jak kamienice w onym mijscu psiokrew przed 8 rokami zwalono, to ci po nich ino psiokrew dziura ostała; nie widziołem tyż we Lwowie nijakigo psiokrew budynku w takim opłakanym psiokrew stanie będącygo, jak Bibljoteka Jagiellońska w Krakowie.

[1]) Zapewne: emerytem.

Uraduwałem się więc psiokrew, co Lwów mimo najazdu zbójów z całygo świata, jeszcze się klawo trzyma. Uraduwałem się tyż, na szyldy sklepowe patrzający, co mom w nim znajomków całe psiokrew zatrzęsinie. Co druki szyld to czytasz brachu: Liebeskind, Horowitz, Landau, Kohn, Epstein, Rosenblatt, Rosensztok, Vaternacht, Bauminger, Goldstein, Gross, Kleiner, Weinberger, Süsser — same familije krakowskie. Dowód to psiokrew najlipszy, co jeden i ten sam psiokrew bratni naród miszka nade Pełwią i nad Wisłą. To tyż, krakowski człeku, czujesz się we Lwowie, jak psiokrew u siebie.

Ino pod jednym psiokrew wzglyndem Lwów sie nie umył do Krakowa. Nimo tu onygo brudu z XV i XVI wieku, nimo tyż psiokrew śmieci z wieku XVII i XVIII. Ulice tu psiokrew zamietajom, śmiecie wywożom — to tyż jezd psiokrew czysto, nimo tej szacownyj platyny [2]), którom sie psiokrew Kraków jezd odznaczający i chlubiący. Brak tu psiokrew okrutny Federowicza i cztyrech wiceprezydyntów, które tak piknie broniom tradycei Krakowa przed najazdem (jak grypsają szmaciarze) fałszywyj zachodnij politury [3]).

A i paskarze i lichwiarze lwowscy nie umyły się psiokrew do naszych krakowskich. Trzo wom wiedzieć, że kiedy w Krakowie dnia 2 lipca kilo ziemniaków kosztuwało 70 marneczek (ile dziś kosztuje, nie wiem, bom jeszcze do Krakowa nie beł powracający), to tygo samygo dnia we Lwowie dostałeś jeich brachu kilo za 28 marneczek. Z tego widno, co złodzieje krakowskie stojom psiokrew wyżej od złodziejów lwowskich przynajmnj w stosonku 70 do 28.

A i służące lwowskie ni majom tyj psiokrew politury, co krakowskie. Miszkołem u jednygo towarzysza, o którego gościnności prawił psiokrew nie będę, boby sie może obraziuł — jako że we Lwowie som takie ludzie, co pedajom, że gościnność jezd obowiązkiem, i jak kto u nich bez pare dni miszko i wikt u nich za durno dostanie, to pedajom jeszcze, co im zrobiuł „przyimność“. Otóż od owygo towarzysza odjeżdżający, wyjonem psiokrew z doliny kielka zielonych papirków „polskiej krajowej kasy pożyczkowej“, coby je wrazić do graby Marysi czy Kasi (bo nie wim, jak sie wabi), ale ona Marysia czy Kasia cofnena psiokrew grabę i pedziała: „przeproszom, ale ja nie bierę“... — A no, wtryniłem psiokrew papirki retur do doliny i pomyślałem se: o zacofana brzano — pojedź psiokrew do Krakowa, a tam cie koliżanki nauczom, co trzo brać jak dajom, a nawyt jak nie dajom.

O jenszych lwowskich wrażyniach w następnym lumerze.

[2]) Zapewne: patyny.
[3]) Zapewne: kultury.

DO P. RABSKIEGO.

Rabski, paszkwilancie famy!
Że w Galicji nie brakuje
Pluskiew, że ich dosyć mamy,
Temu nikt nie oponuje.
Lecz te co najwięcej smrodzą,
Smród rozszerzają po kraju,
Te się we Warszawie rodzą —
Gryźć nas, jest u nich w zwyczaju!
Czy to w krakowskiej stolicy,
Gdzie są albo też gdzie były,
Czy w Jagiellońskiej Wszechnicy
Gryzą, śmierdzą ile siły!
Lecz my im nie wytykamy,
Wszyscy o tem dobrze wiemy.
Bo przychylność dla nich mamy,
Bo to są rodacy przecie!
A że się w Warszawie zjawi
Czasem nasza pluskwa jaka
To ją lżyć nie ludzie prawi
Za to mogą, lecz pokraka!
Lecz gdy wszystkich lżyć już chcecie,
Które pochodzą z Krakowa,
Niech Neuwert krakowskie dziecię,
Który pośród was się chowa,
Za pluskwę uznany będzie,
Która na warszawskiej niwie
Pośród pluskiew w każdym względzie
Śmierdzi strasznie obrzydliwie.

NA MARGINESIE.

Jedno z pism polskich podaje następującą wiadomość:

Koza akt zjadła. — W jednej z naszych władz centralnych zginął bez śladu ważny akt. Dochodzenie wykazało, że naczelnik wydziału wziął wbrew instrukcji akt do domu i że akt został w zupełnej sprzeczności z instrukcją kancelaryjną — zjedzony przez należącą do p. naczelnika wydziału kozę.

O ile na ogół biorąc, koza zazwyczaj zalicza się do zwierząt lekceważonych i przez nogę traktowanych i nikt nigdy nie słyszał, by w jakimkolwiek kraju koza cieszyła się tym szacunkiem, jakim darzono w Egipcie — wołu, w Sjamie — białego słonia, w pewnej republice — osłów (skończonych), a na całym globie ziemskim — złotego cielca — o tyle koza, będąca w posiadaniu p. Regulaminicza, naczelnika wydziału X. departamentu Y. ministerjum Z., w tem ogólnem lekceważeniu koziego rodu stanowiła chlubny wyjątek.

Jako wyższy urzędnik w demokratycznem państwie, p. Regulaminicz za czyn wysoce niedemokratyczny uważałby pozbawienie kogokolwiek wolności osobistej i dlatego koza p. naczelnika, narówni z resztą rodziny państwa Regulaminiczów, swobodnie chodziła po całem mieszkaniu, zaglądając nawet do gabinetu pana.

Ze swej strony koza naczelnika należycie oceniła okazane jej swobody obywatelskiej i brak „przywiązania“ wynagrodziła sobie szczerem przywiązaniem do rodziny p. naczelnika, starając się w miarę sił i możności zapełniać luki w skromnym i nieregularnym deputacie rządowym.

— Ten deputat przynajmniej nigdy nas nie zawodzi — mówiła nieraz pani naczelnikowa, odbierając z rąk służącej garniec ciepłego, tłustego koziego mleka.

I nieraz w umyśle tego lub owego członka rodziny Regulaminiczów jawiła się myśl zdrożna, myśl bluźniercza, że tej opiekuńczej i troskliwej kozie należy się większy szacunek, niż temu, kogo wielu zupełnie błędnie nazywa „dojną krową“.

W ten sposób zgodnie i zbożnie ułożyły się wzajemne stosunki pomiędzy kozą i rodziną pana naczelnika, stosunki oparte na wzajemnem przywiązaniu i szacunku.

Współżycie pod jednym dachem z rodziną pana naczelnika nie pozostało bez dodatniego wpływu na rozwój umysłowy kozy.

Koza wprawdzie nigdy do rozmowy nie wtrącała się, ale chętnie przysłuchiwała się prowadzonym rozmowom i chętnie obserwowała.

W ten sposób koza zauważyła, że od pewnego czasu p. naczelnik o całą godzinę później wraca z biura i zrozumiała, co znaczy „siódma godzina“. Później koza zauważyła, że p. naczelnik przynosi z biura do domu akta, nad którymi nieraz do późnej nocy ślęczy. Zauważyła także, że p. naczelnik, jego rodzina, a także i ona o wiele lepiej odżywiają się przez pierwsze pół miesiąca, gdy począwszy od 15-go każdego miesiąca Regulaminicze całą nadzieję w niej, w kozie pokładają.

Tego też koza w żaden sposób pojąć nie mogła. Postanowiła rzecz zbadać.

I otóż pewnego razu pod koniec miesiąca, kiedy w mieszkaniu Regulaminiczów było chłodno i głodno, koza zakradła się do gabinetu pana naczelnika.

Na biurku leżał stos różnych papierów. Koza wszystkie obwąchała, ale niczego nie mogła się dowiedzieć. Wtem wzrok jej padł na papier, zatytułowany „Do wszystkich“.

— Do wszystkich? — pomyślała koza — a zatem i do mnie i wygłodzona koza rzuciła się na „notę“.

. . . .

Trzy dni i trzy noce rodzina p. naczelnika żyła w ciągłym niepokoju, czy aby „nota“ — nie zaszkodziła kozie.

„Nota“ kozie nie zaszkodziła.

Tylko pewna część prasy podniosła alarm z powodu nie ogłoszenia „noty“, winiąc za to rząd.

Śmieszne żądanie, by rząd odpowiadał za kozę p. naczelnika wydziału!

WARSZAWSZCZYZNA.

Pan Bubek Warszawski zjadł ostatnią sznytkie,
Wziął obsadkie ze stalką, szykuje odkrytkie
„Wtem ktoś sztuka — służący melduje rządcego,
„Pan Szanowny wybaczy, że tu takie cugi,
Janie, zamknij oberluft i ten lufcik drugi,
Człowiek wciąż łapie katar i wiecznie się smarczy,
Już mi tera chusteczek do nosa nie starczy.
Szkoda, że jakiejś szwedzkiej kompozycji nowej
Nie wymyślą — chusteczki do nosa gumowej —
Pan szanowny palący? Oto gilzy — proszę
Stalowane z Paryża, krajowych nie znoszę.
No, ale dokąd pójdziem? Do Kino Pan życzy?
Byłem wczoraj w Qui pro Quie; Bolska strasznie ryczy,
Żato ta Pogorzelska to klasa kobieta.
Mam na ostatni seans ulgowe bileta.
No, chodźmy, siądziem w tramwaj, to zdążymy może.
Pański zegar się późni. Jak tam dziś na dworze?
Mogie iść do figury? A jak się rządcemu
Podoba mój gasparon nowy? Dwa dni temu
Kupiłem u Fertnera.Firma egzystuje
Od..." Lecz tu już końca rozmowy brakuje.
Pan rządca z panem Bubkiem Warszawskim pospołu
Są już obaj za drzwiami, jeszcze tylko z dołu
Dolatuje ich głośne, zgodne narzekanie:
„Wszystkiemu, Panie, winni są ci Galicjanie.

Nie-Warszawianin.

CIĘTA ODPOWIEDŹ.

Nowoczesna młodzież, uświadomiona na każdym kroku przez powołanych do tego i niepowołanych, w najmłodszych już latach udaje filozofów i kpi sobie ze wszystkiego, często jednak zdarza się, że natrafi na kogoś, kto jej da trafną odpowiedź i skarci na miejscu, delikatnie, a jednak dotkliwie.

Tak właśnie zdarzyło się w jednym z krakowskich gimnazjum, gdzie w klasie piątej, w czasie lekcji religji, omawiał katecheta dogmat o stworzeniu świata i człowieka, przytaczając na to dowody i zbijając twierdzenia różnych niedowiarków.

— Proszę księdza katechety! — przerywa jeden z dowcipnych uczniów — mój tatuś powiada zawsze, że my pochodzimy od małpy!

— Zwracałem już niejednokrotnie uwagę — odpowie na to katecheta spokojnie — że w szkole nie powinno się poruszać spraw domowych! Mój kochany, co nas mogą obchodzić wasze familijne stosunki?...

MIĘDZY DZIEĆMI.

— Wiesz Stasiu, dziś trzeba być grzecznym, gdyż lekarz zaordynował ojcu więcej ruchu!

— Aha! To pewnie dlatego tatko teraz sam sobie kręci papierosy.

TEMPORA MUTANTUR.

— Tak! Tak! Panie dobrodzieju! Czasy się zmieniają i ludzie zmieniają się z niemi! Mój wspólnik przed dziesięciu laty, gdy miał jeszcze dwa miljony majątku i dwa wsi, to on potrzebował się nazywać La Fontaine... Skoro jeden miljon stracił, to on się nazywał jeszcze Wasserfall, gdy i drugi djabli wzięli, zmienił nazwisko na Wasserstrahl, a teraz, kiedy jego zlicytowali i jest zwyczajny kapcan, to on się potrzebuje nazywać całkiem ordynarnie Pischeles...

POD ZNAKIEM CZASU.

Żebrak (na ulicy): Łaskawy dobrodzieju, wspomóż biednego nieszczęśliwego sierotę!

Przechodzień: Mój kochany ja sam nic nie mam!

Żebrak: To może założylibyśmy spółkę akcyjną?

PODZIAŁ PRACY.

Przechodząc ulicą spotkał pewien krakowski filantrop biedną kobietę, która z trudem popychała wózek, na którym siedział schorowany mężczyzna. Ulitował się nad dolą biednej i dając jej obfitą jałmużnę, mówi z współczuciem:

— *I tak musicie, kobieto, cały dzień męża wozić?*

— E... nie, proszę łaski pana dobrodzieja — odrzekła z prostotą zagadnięta — popołudniu ja siadam na wózku, a on mnie wozi!...

NIEPRZYJEMNE PODOBIEŃSTWO

Pan X. spotyka na ulicy swego krawca ze synem.

Pan X.: To jest z pewnością pański synek?

Krawiec: Tak, wielmożny panie.

Pan X.: Ja to poznałem zaraz po podobieństwie...

Krawiec: Lecz chyba nie do mnie; jest to bowiem mój pasierb.

Pan X.: Nie, nie po podobieństwie z panem. Myślałem tylko o podobieństwie materji jego płaszczyka a mojem ostatniem paltem, do zrobienia którego tak pan wiele materji spotrzebował.

OSTROŻNA.

Pan K. chciałby koniecznie swego siostrzeńca ożenić. W tym celu udaje się do pośrednika małżeństw, który mu przedkłada całą kolekcję fotografij kandydatek hymenu. Ku swojemu ogromnemu zdziwieniu, ba nawet przerażeniu, zobaczył pan K. między fotografjami także fotografję swej żony... Wzburzony do głębi, pędzi do domu.

— Co to ma znaczyć? — woła już na progu. — Twoja fotografja... u pośrednika małżeństw...

— Eh... to nic... — usprawiedliwia się żona. — Ja dałam tę fotografję zeszłego roku... kiedy to byłeś tak niebezpiecznie chory na tyfus.

I TO POCIECHA.

Pan Pieniacki, zapalony procesowicz, o lada głupstwo „prawował“ się w sądzie ze swymi przyjaciółmi i nieprzyjaciółmi. Niedawno zaskarżył jednego z nich o jakąś tam bagatelkę, wygrał sprawę w dwu instancjach, przegrał jednak w ostatniej, to jest przed Najwyższym Trybunałem, dokąd zwrócił się jego przeciwnik.

Gdy mu zakomunikowano ostateczną decyzję sądową, przyznającą słuszność jego przeciwnikowi, rzekł, zacierając ręce:

— Przegrałem? Nic nie szkodzi! To mnie przecież pociesza, że ja miałem dwa razy słuszność, a on tylko raz!...

„RĄDCA DWORU.

Historja prawdziwa.

Jan Fuliński, stanu wolnego, jest emerytowanym radcą dworu, czyli jak u nas w Galicji się mówi, hofratem. Jest też kawalerem orderu żelaznej korony 3 klasy, które to odznaczenie otrzymał za świetne wyroki, umieszczone ku wiecznej rzeczy pamięci w zbiorze najcelniejszych orzeczeń Sądu Najwyższego. Emeryturę ma bardzo małą to jest znacznie mniejszą aniżeli wynosi miesięczna płaca czeladnika piekarskiego lub zastępcy pomocnika woźnego sądowego. Pomimo jednak tak małej emerytury nie umiera z głodu, gdyż jadł bardzo mało, a oprócz wody nic nie pił. Garderoba jego składała się z jednego ubrania i o ile losy nie każą mu żyć sto lat, jest wystarczającą zwłaszcza, że ją szanuje i w domu dolne części jej zdejmuje. Troszczył się tylko o dwie rzeczy: to jest o to, aby nadany mu order żelaznej korony trzeciej klasy nie zaginął, po jego śmierci oddano go dotyczącej władzy i nie posądzono że go sobie bezprawnie przywłaszczył; po drugie o to, aby po śmierci jego tak jak za życia, nikomu nie zrobił kłopotu i dla tego na swój pogrzeb udało mu się złożyć trzy tysiące marek. Będąc jednak bardzo przezornym, aby się przekonać, czy kwota trzy tysiące marek na opędzenie kosztów pogrzebu wystarczy, zapytał o to przedsiębiorcę pogrzebowego. Od niego się dowiedział, że obecnie trumna najgorszego gatunku kosztuje około dwadzieścia tysięcy marek, a najlichszy pogrzeb z karawanem o jednym koniu około pięćdziesiąt tysięcy. Bardzo go to zmartwiło i postanowił starać się o jakie zajęcie, aby fundusz pogrzebowy do odpowiedniej wysokości doprowadzić. W mieście odpowiedniego zajęcia znaleźć nie mógł, gdyż wobec krótkiego i kiepskiego wzroku w żadnym biurze przyjąć go nie chcieli, zaś do innego zajęcia jak odnoszenia pakunków z dworca kolei żelaznej, składania węgli do piwnicy, brakowało mu sił fizycznych. Dowiedziawszy się jednak, że na wsi parobkom tytułem zasługi płacą kilka razy więcej, niż emerytura radcy dworu wynosi, udał się do pobliskiej wsi i chodząc od chałupy do chałupy, pytał, czy potrzebny jest parobek. Długi czas nikt na jego propozycje nie reflektował, aż nareszcie Jan Duda, gospodarz na kilkunastu morgach z powodu tego, że jego parobek w nadziei, że będzie amnestja i nic mu się złego nie stanie, okradł go i uciekł, a innego parobka wyszukać nie mógł, zgodził się na przyjęcie go do służby jako parobka. Warunki były bardzo korzystne, gdyż radca miał otrzymywać tytułem zasługi miesięcznej więcej, niż prezydent sądowy w czynnej służbie, a nadto Jan Duda obiecał mu, że jeżeli z jego pracy będzie zadowolony, to mu po roku kupi buty z cholewami. Radca objął służbę i był pełen nadziei, że wkrótce fundusz pogrzebowy uzupełni do odpowiedniej kwoty.

Pracował jako parobek z całych sił i wszystko szło mu nie najgorzej, a nawet w niektórych robotach, jak wyrzucaniu ze stajni gnoju, paszeniu bydła wkrótce osiągnął wielką wprawę. Jedynie sprawa dojenia krów połączoną była dla niego z pewnemi trudnościami. Nie dlatego, jakoby doić nie potrafił, ale z innej przyczyny: Jan Duda posiadał dwie krowy: Krasulę i Czarnulę. Otóż Czarnula obchodziła się z radcą tak przyzwoicie, jakgdyby całe życie tylko z radcami dworu miała do czynienia — zaś Krasula z niewiadomych powodów była dla niego wielce nieprzyjaźnie usposobioną. Na pastwisku kopała i wierzgała tak, że trudno było do niej się zbliżyć, a w czasie dojenia zachowywała się tak burzliwie i nieprzyzwoicie, że radca nieraz razem ze stołeczkiem od dojenia i skopcem znalazł się na ziemi. Radca jednak wszystko to spokojnie znosił, aż naraz, gdy mu brakło cierpliwości i Krasula wierzgała, kopnął ją w bok. Skutek był straszny! Radca, który obawiał się, aby mu orderu żelaznej korony 3 klasy nie skradziono lub go nie zgubił, zawsze nosił ten order na tużurku i czynił to także w czasie dojenia. Krasula oburzona kopnięciem, aczkolwiek krowy w regule orderów, a w szczególności żelaznych koron 3 klasy nie połykają, pochwyciła pyskiem order, umieszczony na tużurku radcy i order połknęła. — Rozpacz radcy była nie do opisania i już wyobrażał sobie, jak po jego śmierci z powodu braku orderu będą go znieważać i obwiniać o zdefraudowanie orderu. Zaraz też przywołał weterynarza, który po zbadaniu Krasuli stetoskopem i przy pomocy termometru orzekł, że tylko zapomocą resekcji żołądkowej order żelaznej korony 3 klasy z wnętrzności Krasuli wydobytym być może. Pomimo, że radca na kolanach błagał Jana Dudę, aby się zgodził na resekcję żołądka Krasuli, że przyrzekał wszystkie koszta lekarskie i koszta umieszczenia w sanatorjum zapłacić, Jan Duda zgodzić się nie chciał. Nie było innej rady, więc radca za złożone na pogrzeb fundusze i zarobione w charakterze parobka u Jana Dudy zakupił Krasulę i kiedy ją zarznięto, wydobyty z żołądka order żelaznej korony 3 klasy dostał się znów do rąk radcy. Ale i tu go los prześladował, bo z mięsa zarzniętej Krasuli nie mógł korzystać, gdyż wete-

rynarz oświadczył, że order żelaznej korony był powodem zatrucia mięsa i na sprzedaż nie zezwolił. — Cała ta historja, gdy radca nadto utracił nadzieję, że będzie mógł złożyć odpowiedni fundusz na pogrzeb, tak go zniechęciła, że porzucił intratną służbę u Jana Dudy, order złożył w depozycie sądowym, a obecnie zamyśla, jeżeli Wisła wzbierze, tak się utopić, aby jego ciała nie odnaleziono i bez pogrzebu się obeszło.

MONOLOG SCHMAJGEŁESA.

Ten minister od finanse
Optymistą jest z natury —
Głosił, że marka ma szanse
Podskuknąć sobie do góry.
To mnie bardzo ucieszyło,
Bo marka nic nie wartała,
Bo już bardzo kiepsko było,
A drożyzna wciąż wzrastała.
A jak z Austrje przywieziono
Do Warszawy złota wiele,
To mnie bardzo ucieszono,
W sercu miałem furt wesele.
Moje żone to skakała,
I cieszyła sze szalenie,
Że z uciech tej dostała
W żołądku wielkie bolenie.
Córke to z wielkiej radości
Stanęła sobie na głowe,
I pomimo oszczędności
Zakupiła majtki nowe.
Ale radość krótko trwała,
Bo markie nie podskuknuła,
Ale na łeb furt spadała,
Drożyzne furt większą buła.
Nawet, bułki podrożały,
Węgle, tytoń i jedzenie,
I żywności zastęp cały
Z każdym dniem droższy szalenie.
Wiśnie to markę kosztuje,
Dwie marki ziemniaki stare —
Za kurę — strach mnie przejmuje —
Żądają tysiąców pare!
A jak we Warszawie skradną
Złoto, co tam przywiezione,
To będzie sprawą szkaradną —
I z marką całkiem skończone!
Ażeby nas uratować
Niema innej możliwości,
Trzeba żyda zamianować
Ministrem finansowości!
W Polsce od dawna bywało,
Że gdy buła wielka bida,
To sze zawsze udawało,
Aby ratował do żyda!
Niechaj pan Witos pamięta,
Że nie dobre to, co nowe,
Że tradycje, to rzecz szwęta,
Że co było, było zdrowe.

TU, ALBO TAM!

Pan Aron sprzecza się ze swym wspólnikiem, panem Jojnem, że przecież dostanie się do nieba. Pan Jojne twierdzi, że tam takiego jak on lichwiarza, nie puszczą.

— Idź ty głupi! — powiada pan Aron. — Ja ciebie powiadam, że ja tam muszę być! Ja sobie całkiem spokojnie stanę koło drzwi od nieba i zaglądnę do środka, a potem zamknę zaraz. Św. Piotr spyta się: kto tam? Ja wtedy schowam się i za chwilkę znowu otworzę drzwi i znowu zaglądnę... Wtedy święty Piotr się zgniewa, bo on nie lubi przeciągów i zawoła: No... albo tu, albo tam... ale nie przetwieraj się... Nu... to ja wtedy wejdę sobie do środka, a stamtąd już mnie nikt nie wypędzi...

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Feljeton składany).

I. Bankier a społecznik.

„W Gdańsku jest czynnych dwadzieścia banków polskich. Gdyby one choć cząstkę olbrzymich zysków przekazywały na cele publiczne! Coby z tych świadczeń urosnąć mogło! Dom stowarzyszeń polskich w Gdańsku, w Zopot, szkoły, bibljoteki! Gdyby jeden tylko bank spółek zarobkowych, założony przez księdza Wawrzyniaka chciał ambicje swoje widzieć w budownictwie społecznem, a nie w zakładaniu restauracji i w pędzeniu wódek, sam jeden dałby radę wszystkim narodowym i społecznym potrzebom Polaków w Gdańsku i na całym wybrzeżu Bałtyku..."

Tak czytać można w tygodniku „Świat", w artykule pana Chołoniewskiego. I jeżeli cytujemy ten ustęp tutaj, to nie dlatego, abyśmy mieli nie zgadzać się z poglądami autora na obowiązki banków polskich.

Stary powstaniec, Stanisław Krzemiński, mówił do nas przed laty: „mam lat siedmdziesiąt, a nie spotkałem jeszcze człowieka, któryby na serjo o Polsce myślał, a nie był goły". Czy bankier jaki siedział kiedy w dziesiątym pawilonie? Żali splamiłby do takiego stopnia zawołanie, aby iść między obłąkanych powstańców, rewolucjonistów. Ubiegłej zimy zdawało się, że kilkudziesięciu tych panów zapozna się z wilegjaturą Pawiaka i więzieniem w Mokotowie, ale i to okazało się próżnem marzeniem. Dowiedzieliśmy się, że byli to rycerze cnoty, prawdy i narodowej ofiary! Cóż tedy dziwnego, że banki Wawrzyniaka pędzą wódkę i same wyszynk tejże wódki organizują w restauracjach „narodowych" — zgoła niemieckich i z ducha i z kuchni — urządzanych przez tapicerów, stolarzy, zdunów niemieckich? Mówi się w nich po niemiecku. Aby handel szedł. Aby z mareczki można było dziesięć i dwadzieścia mieć zysku. Cóż z tego, że ta biedna „narodowa" marka polska traci na wartości! Tylko nieukom wydawać się może, że spadek marki polskiej, to w znacznym stopniu dzieło spekulacji bankierskich. Boże broń!

Marjan Bohusz, świetny fejletonista dawnego z przed trzydziestu laty „Głosu“, jako antysemita dowodził, że marzy o polskim wekslarzu, handlarzu, lichwiarzu. Gdyby był dożył naszych czasów i zobaczył fale narodowego „grynderstwa“, zalewającą nasze życie „wolne i niepodległe“, gdyby zobaczył tę pijaną sarabandę unarodowionego kapitału z żydami razem na jednej niwie pracującego — wątpię szczerze, czyby powtórzył co wtedy był powiedział!

„Szersze ambicje“! Szynk, knajpa w tej chwili wystarczą. Przyjdzie czas, kiedy synkom tych bankierów będzie za ciasno w tych granicach. Będą zbierali dzieła sztuki (to też lokata kapitału!), będą posiadali własne yachty, będą zasiadali w senacie polskim. Wnuki pójdą dalej — stracą majątki przez dziadów zebrane, a ich synowie będą robili socjalne rewolucje.

Ten rozwój może być nieco przyspieszony. Etapy mogą być skrócone. Pan Znaniecki, filozof poznański dowodzi, że kultura Zachodu, do którego i nas zalicza, złamie się. upadnie, zcześnie w odmętach bolszewizmu, który świat zaleje... Tak iż, gdyby miał rację filozof uniwersytetu poznańskiego, o czem najgłębiej wątpimy, nie warto gromadzić góry banknotów. Ale mimo to nie przestaną ich gromadzić. Głód złota był zawsze „święty“ nie tylko dla poety rzymskiego, ale dla wszystkich, co złoto albo papiery wartościowe posiadają!

I pan Chołoniewski zostanie ze swoją wiarą w unarodowione i uspołecznione sumienie bankiera — na piasku. Jak świat światem, nie był jeszcze społecznik bankierowi bratem!

II. Autentyczne.

Na kilka dni przed przebyciem do Lwowa dziennikarzy nadbałtyckich, zwrócono się z Warszawy do pewnych instytucyj z prośbą o gościnne tej wycieczki przyjęcie. Postanowiono zastosować się do życzeń, ale udano się do przedstawiciela rządu o pieniężny zasiłek, aby przynajmniej choć w połowie pokryć znaczne wydatki. Otrzymano suchą odpowiedź, że dalegat nie rozporządza odpowiedniemi funduszami. Co więcej p. delegat uznał za stosowne wyjechać na czas pobytu gości.

Zdarzyło się jednak tak, że musiał powrócić na drugi dzień ich pobytu, to jest w dniu, w którym miasto przyjmowało dziennikarzy nadbałtyckich bankietem na 50 osób. Pan delegat zawiadomił zatem prezydenta Neumana, że powrócił i że chętnie weźmie udział w bankiecie.

Pan Neuman w odpowiedzi wyraził żal, że nie może korzystać z tego zaszczytu, ponieważ lista biorących udział już jest ustalona, a liczby uczestników przekroczyć mu nie wolno.

III. Wiersz deklamowany przez Frenkla na raucie w Kole art. literackiem.

Stary dandys widząc z żalem,
Że już trudno młodość wskrzesić,
Postanowił się ożenić —
Lub powiesić.

Dumał długo, wybrał wreszcie
Najpiękniejszą z dziewic grona,
Sądził bowiem: z dwojga złego
Mniejsze: żona.

Trzy dni całe był szczęśliwy,
Mniej wesoły dnia czwartego.
Po tygodniu go znaleźli
Wiszącego.

Stąd nauka jasna płynie
Do użytku łysych stworzeń:
Wprzód się lepiej powieś, bratku,
Potem ożeń.

Kb.

NADESŁANE.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski. Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.